NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego"

Nr. 49. | Wąbrzeźno, dnia 3 grudnia 1927 r. | Rok 4

Ewangelja

według św. Mat. rozdz. 11, wiersz 2—10.

Jan usłyszawszy w więzieniu dzieła Chrystusowe, posławszy dwóch z uczniów swoich, rzekł mu: „Tyś jest, który masz przyjść, czyli inszego czekamy?" A odpowiadając Jezus, rzekł im: „Szedłszy odnieście Janowi coście słyszeli i widzieli. Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim ewangelję opowiadają. A błogosławiony jest, który się ze Mnie nie zgorszy." — A gdy oni odeszli, począł Jezus mówić do rzesz o Janie: Coście wyszli na puszczę widzieć? Trzcinę chwiejącą się od wiatru? Ale coście wyszli widzieć? Człowieka w miękkie szaty obleczonego? Oto którzy w miękkie szaty się obłóczą, w domiech królewskich są. Ale coście wyszli widzieć? Proroka? Zaiste powiadam wam i więcej niż proroka. Bo ten jest, o którym napisano: Oto Ja posyłam anioła Mego przed obliczem twojem, który zgotuje drogę twą przed tobą.

Nauka z ewangelji.

Czemu był Jan w więzieniu?

Złajał bowiem Heroda za kazirodcze małżeństwo z żoną swego brata, za co później poniósł śmierć męczeńską. Kto mówi prawdę, ściąga na siebie nienawiść. Tego na sobie doświadczył i Jan. Ale nie lękał się ani nienawiści, ani śmierci, byleby tylko spełnić swój obowiązek. Jego przykład uczy nas, abyśmy bez obawy mówili prawdę, gdzie tego wymaga nasza powinność, choćby nas za to czekały przykrości.

Czemu wysłał Jan swych uczniów do Chrystusa?

Jan uznał jawnie w Chrystusie obiecanego Mesyasza i Zbawiciela świata. Tę wiarę chciał wzbudzić w swych uczniach i w narodzie. Dlatego wysłał dwóch uczniów, aby Go stanowczo zapytali, czy jest obiecanym Mesyaszem i z ust samego Jezusa usłyszeli, że Nim jest.

Czemu rzekł Chrystus do uczniów Janowych: „Idźcie i powiedzcie Janowi: ślepi widzą, chromi chodzą i t. d."

Dlatego, aby te cuda ich przekonały, że jest obiecanym Mesyaszem, o którym przepowiadali Prorocy, że cuda czynić będzie. (Izaj. 35, 5—6) Święty Cyryl mówi: „Chrystus udowodnił mnóstwem i niezwyczajnością cudów, że jest Mesyaszem".

Czemu Pan Jezus dodaje: „Błogosławiony jest, który się ze Mnie nie zgorszy?"

Czyni to dlatego, aby nikt o Nim nie wątpił i nie odrzucał Go z powodu Jego pokory, dobrowolnego poniżenia i ubóstwa.

Do czego zmierzają pytania, jakie czynił Pan Jezus odnośnie do świętego Jana?

1. Pan Jezus chce Janowi dać jawne świadectwo jego stanowczości względem Heroda, uznać czystość jego żywota i wzniosłość powołania. 2. Tem świadectwem pragnie spowodować żydów, aby uwierzyli słowom Janowym, iż On jest rzeczywistym Mesyaszem, a uwierzywszy Janowi, aby uwierzyli także w Jego posłannictwo, jako obiecanego przez Boga Zbawiciela.

Czemu mówi Pan Jezus, że Jan jest więcej, niż prorokiem?

Gdyż, jak to wyjaśnia sam Pan Jezus w słowach następnych, Jan jest owym przez proroków przepowiedzianym zwiastunem Królestwa niebieskiego, któremu jednemu dane było oglądać i pokazywać to, co przepowiedział i nietylko z daleka, ale bezpośrednio Zbawicielowi pomiędzy ludem torować drogi.

Jakże torował Jan drogę Zbawicielowi?

Kazaniem i własnem życiem pokutniczem starał się nakłonić żydów, aby swe serca przez poprawę życia przysposobili do przyjęcia Mesyasza. Pan Bóg nie zbliży się i do nas ze Swą łaską, jeżeli Mu nie utorujemy drogi szczerą poprawą życia.

Adwent.

Nadszedł już Adwent. Zbliża się święto Narodzenia Chrystusa Pana. Na szarą ziemię, na ten padoł płaczu i nędzy ludzkiej spłynie niebawem jasny promień miłości i błogosławieństwa, przyniesionego przez malutkie Dzieciątko Jezus.

I choć serca ludzkie — w ciężkiej walce o byt, o posiadanie dóbr doczesnych — stały się

mało przystępne do przyjęcia tych darów — jednak w czasie adwentowym niejedno z nich odtaje i żywszem zabije dla Boga uczuciem.

Adwent — to okres usilnej tęsknoty za Bogiem, okres przygotowań do radosnej chwili — przyjęcia na ziemi Odkupiciela naszego. Usposobia nas pogodnie i owiewa duchem prawdziwych uczuć chrześcijańskich. Nakazuje zapomnieć o egoiźmie i w czyn wprowadza słowa Mistrza i Nauczyciela naszego: „Dbaj o bliźniego, jak o siebie samego".

Ludzkość ogarnia potężna fala gorącego uczucia miłości. Każdy z nas pragnie sprawić uciechę najbliższym, a nawet nieznanym i zapomnianym. Nikną wzajemne uprzedzenia i urazy, a przy wspólnym opłatku następuje wybaczenie i uleczenie ran, bezmyślnie lub zbytecznie bliźnim zadawanych.

W okresie tym — choć raz do roku — pragniemy uczynić coś dobrego dla najbiedniejszych, co ufni w słowa Zbawiciela, oczekują radości, przygotowanej przez bliźnich. Owym niezliczonym rzeszom ubogich, sierot, starców i kalek, o których myśli się rzadko, a których istnienie przypomina nam dopiero Dzieciątko Jezus.

A gdy wykorzystamy Adwent dla tej pracy błogosławionej — z jakąż radością powitamy dzień Narodzenia, z jakiem zadowoleniem wewnętrznem zasiądziemy do stołu wigilijnego. W blasku jarzących się świateł choinki świat wyda się nam inny, stokroć lepszy i piękniejszy, a słowa kolendy popłyną z tem radosnem uczuciem, że godnie wyszliśmy na spotkanie Dzieciny Betleemskiej.

Nie płacz!

„Nie płacz!" mówi ci Zbawiciel!,
On, gdy zechce, cię pocieszy,
On najlepszy Pocieszyciel!.
Nawet jeśli człowiek grzeszy,
Byle powstać miał ochotę,
On nauczy pełnić cnotę.
Nie płacz, gdyś jest opuszczony,
Choć w cierpieniu pogrążony,
Fale życia On wygładzi,
On łzy otrze, On poradzi.

B. Ch

Inne czasy.

Inne czasy, inne ludzie....

Dawniej, pomnę, kiedy dwór szedł spać, szło się jeszcze na dobranoc do pokoju babuni. Dziedzice nie byli już młodemi ludźmi, mieli trzech dorosłych synów i tyleż cór na wydaniu — ale codzień, przed udaniem się na spoczynek, składali „wieczorny raport" starszej pani...

Niestraszny to był raport i niegroźny, ale może dlatego właśnie, że taki serdeczny, wszyscy się go potrosze — serdecznie — bali.

Musiały wysłuchać wnuczęta swoją porcję — rodzice też.

— A dlaczego ty, kochanie, byłeś dziś taki twardy dla Kubiakowej? Odrobiłaby ci tych kilka korcy kartofli...

— Nie mogłem, mamo. — Przednówek. Boję się, że mi dla sezonowych zbraknie!

— E, nie zbraknie, kochanie. A Kubiakowa, widzisz poczciwa kobieta i bieda u nich aż piszczy.

— Tak, mamo, może być... Tylko, że jak jej dam, to się zaraz zjawią z taką samą prośbą inne komornice. —

— To wtedy zaradzimy.

— Doprawdy, mamo...

— Widzisz, my jesteśmy syci, a tam naprawdę głód.

— Już jeżeli mama koniecznie każe —

— Nie, kochanie, ja cię przecież tylko proszę...

Nazajutrz Kubiakowa dostawała kartofle.

— — — — — — — — — — — —

Młodzieży też mówiła babunia to i owo.

Naprzykład: że Marychna jest już taką dużą panną i powinna dawać siostrom przykład, a wstaje zbyt późno... Albo: że Cesia nie powinna zwracać się do służby w tak opryskliwy sposób..- I jeszcze: że Zochna niepotrzebnie pozwala się całować starszym kobietom w rękę...

— — — — — — — — — — — —

Niema już babuni — i niema pokoju babuni. Staruszka dawno śpi na cmentarzu miejscowym, w grobie rodzinnym — a biały pokój na pięterku, do którego się niegdyś szło na palcach po skrzypiących schodach — rozbił gwiżdżący granat, podczas strasznej, wielkiej wojny...

Odbudowany dwór inaczej teraz wygląda...

W ciemnym, wielkim salonie (salon cudem ocalał) znajduje się w rogu, tam gdzie niegdyś wisiał stary sztych, przedstawiający księcia Józefa, skaczącego z koniem do Elstery — radjo.

Młoda pani dziedziczka lubi jazzband; to też codzień podczas wieczornego koncertu, płyną ze świata dziwne i skłócone dźwięki jakiejś obcej muzyki. Młoda pani słucha, słucha — i robi sobie usta...

Pan dziedzic też lubi jazzband.

Słucha godzinami charlestonów, przeglądając francuskie ilustracje.

Sam już z Kubiakowemi o kartoflach nie rozmawia; wyręcza go w tem administrator.

A na dobranoc? —

A na dobranoc młodzi państwo podają sobie uprzejmie ręce — rozchodzą się do swoich pokojów.

— — — — — — — — — — — —

Nie mają sobie właściwie nic do powiedzenia.

A, owszem!

Czasami, kiedy jest szczególnie parno pani mówi do męża:

— Nie zapomnij uziemić anteny.

ROZMAITOŚCI

Sąd niewidzialny.

Pewien zakonnik — pisze św. Jan Klimak, imieniem Stefan, żył z nami w klasztorze. Ponieważ mu się zdawało, że życie w klasztorze jest za mało surowe, uprosił sobie u przełożonego pozwolenie, aby się mógł udać na puszczę i tam ostrzejszy żywot prowadzić. Przeżywszy długie lata w najsurowszej pokucie, wrócił nareszcie do celki zakonnej, by w gronie braci życie zakończyć. Zaledwie tam przybył, ciężko zachorował i już bliskim był śmierci. Dzień przed śmiercią opanowała go straszna trwoga. Wił się na łożu

boleści, zwracając oczy to na prawo, to na lewo, jak gdyby widział jakieś okropne skrzydła. Nareszcie zaczął z kimś rozmawiać, tak, iż wszyscy wkoło stojący dobrze słyszeć mogli:

— To prawda, mówił, masz słuszność: nie zapieram się tego... ale za ten grzech tyle lat pościłem!

Po chwili znowu rzekł:

— Nie, tego nie uczyniłem.

A potem:

— Prawda, ale za ten grzech tyle łez wylałem i przez tyle lat służyłem bliźnim:

Nareszcie rzekł:

— Na to nie mam co odpowiedzieć; zgrzeszyłem, ale ufam w miłosierdziu Bożem!

Był to, dodaje św. Jan Klimak, widok okropny i serce rozdzierający; wszyscy obecni drżeli ze strachu i przerażenia. Cóż się stanie ze mną nędznym grzesznikiem, kiedy ten cnotliwy starzec, który tak ukochał samotność i tak surowe życie prowadził, nie mógł się usprawiedliwić z kilku błędów w młodości popełnionych, chociaż 40 lat przeżył na puszczy, czyniąc najsurowszą pokutę?

Pożytek ze słuchania kazań.

Biskup moguncki Ketteler (umarł 1877) słuchał chętnie kazań kapłanów jemu podwładnych, nietylko w mieście, ale i na wsi. Mimo, że był człowiekiem wysoce wykształconym, jednak tak się zawsze wyrażał:

— Jeszcze nigdy nie słyszałem kazania, z któregobym nic nie był skorzystał.

Pożytek z kazań zależy jedynie od zamiarów słuchającego. Jeśli kto nie ma lepszego zamiaru, tylko, aby krytykować kaznodzieję, — taki oczywiście bardzo mało odniesie korzyści ze słuchania kazań.

Pożytecznem jest także czytanie religijnych i budujących książek.

Jeden bosy, drugi bez nóg.

Pewien student nie miał na tyle pieniędzy, aby sobie kupić buty. Musiał często chodzić boso. Smucił się więc tem bardzo i myślał, że jest najnieszczęśliwszym z ludzi na ziemi.

Kiedy raz właśnie był bardzo przygnębiony, zobaczył na ulicy człowieka, który nie miał obu nóg.

Ten widok wywarł na nim ogromne wrażenie, wówczas rzekł sam do siebie:

— O, jak szczęśliwy jestem, że mam obie nogi zdrowe! Lepiej, że mam nogi bez butów, niż żebym miał buty bez prawdziwych nóg! O jak chętnie chodziłby ten człowiek boso, gdyby tylko miał nogi!

Odtąd znosił cierpliwiej przykrości. Ów student nazywał się Lokman, a zasłynął później jako wielki znawca języka arabskiego.



Zamek czy hotel?

Amerykanie, którzy dotychczas starali się budować jak najwyższe drapacze chmur, zmienili obecnie styl budowlany. Dowodem tego jest nowo zbudowany Traymore Hotel, którego styl budowlany wzorowany jest na europejskich zamkach.

ZŁOTE MYŚLI

Wszystkie dobre uczynki razem wzięte nie wyrównają jednej Ofierze Mszy św. Chociaż wszystkie dobre uczynki są dziełem Boga, niczem są jednak w porównaniu z męczeństwem. Męczeństwo jest ofiarą, przez którą człowiek przynosi Bogu życie w darze, Msza św. zaś jest ofiarą, którą Bóg czyni człowiekowi z własnego Ciała Swego i Krwi Swojej.

Z Duchem św. rośnie serce w miłości Bożej. Jak ryba nigdy się nie żali na zbytnią obfitość wody, tak dobry chrześcijanin nigdy się nie skarży na zbyt długie obcowanie z Bogiem. Niektórym wydaje się religja nudną, bo w nich nie masz Ducha świętego.

WESOŁY KĄCIK

Dla dobra kraju.

Minister francuski zwiedza prowincje Rzeczypospolitej, aby zbadać stan kraju. Zatrzymawszy się w jednej miejscowości, zwraca się do mera (burmistrza) z pytaniem:

— Może mi powiesz, panie merze, jakie są potrzeby waszego okręgu?

A to panie ministrze, żeby mi jak najprędzej dano odznakę legji honorowej.

Zazdrosny.

— Dawno już jesteś żonaty?
— Od sześciu lat.
— A czy bywasz czasem zazdrosny?
— Nietylko czasem, lecz stale.
— Jakto?
— Stale zazdroszczę... kawalerom.

Skarb Watażki.

1) POWIEŚĆ.

I.
Hajdamacy we Lwowie.

W ostatnim dziesiątku lat swego istnienia Rzeczpospolita polska przedstawiała widok starego gmachu, którego potężne niegdyś posady poczęły drżeć w całej swej głębi, którego mury od wieków nie naprawiane dłonią opatrznego gospodarza, rysować i pękać poczęły, pod szalonym naciskiem ustawicznej burzy.

Chwiały się groźnie pod stopami całego narodu podwaliny, osadzone niegdyś silnie mieczem i rozumem lepszych przodków, ze straszliwym łoskotem pękały stare sklepienia, ale ledwie najmniejsza cząstka słyszała tę wieszczbę upadku; nieskończona zaś większość nie słyszała i nie widziała zwiastunów złowrogich.

Swawola rozpasała wszystkie warstwy ludności i całemu obliczu społecznemu owych czasów wycisnęła piętno konwulsji czy obłąkania.

Wojny dopełniły opłakanego zamętu, a jakby na ostateczny domiar grozy i nieszczęścia najokropniejszy, najpotworniejszy bunt rozpasanej czerni rzucił na tę scenę odblask niewinnej krwi i łunę pożogi...

Takich to czasów ustępem był r. 1768, w którym rozpoczyna się opowieść nasza.

W roku tym Lwów był niemal do szczętu zniszczony; handel, który tu niegdyś miał swe wielkie ognisko wschodnie upadł zupełnie.

Była mu wrogiem własna załoga polska, był mu wrogiem pan łowczy koronny Branicki, co ściągał i organizował siły przeciw konfederatom; była mu wrogiem konfederacja barska, co zagrażała mu ustawicznie, a raz nawet pokusiła się o jego zdobycie.

Miasto było uciśnione, życie w niem było posępne, smutne, jakby pełne złowrogiego przeczucia.

Sypano wały, naprawiano mury fortyfikacyjne, zbrojono z pospiechem klasztor karmelicki, który stanowił poniekąd czoło ówczesnej warowni lwowskiej.

Przed kim się zbrojono? Nie było to tajemnicą. Lwów miał tym razem stanąć zaporą nie obcym, lecz swoim. Obawiano się niespodziewanego napadu konfederatów, którzy od ziemi sanockiej i od Podola podążać mieli pod starą forteczkę, by śmiałym zamachem wydrzeć ją z rąk królewskiego wojska.

Ludność, jak zawsze groźnym i przesadnym pogłoskom przystępna, straszyła się sama jeszcze gorszemi wróżbami.

Szeptano sobie między gminem, że nietylko okropność domowej, wojny oprzeć się ma o miasto. Biegały wieści, że w Chocimiu gromadzi się wojsko tureckie, że basza turecki czeka na czele janczarów, aby wpaść w ziemie polskie, że już wypadł falą pożogi, że Kamieniec Podolski zdobyty, że janczarskie straże aż pod Brody już się posunęły. Do tych wieści mylnych przybyła niebawiem inną. Była ona prawdziwa, jak każda niemal wieść owego czasu przyleciała na skrzydłach strachu i przerażenia, urosła w większą jeszcze okropność niżli nią była w istocie.

Rzeź humańska rzuciła krwawą łunę na całą jedną prowincję Polski. Słyszano o mordach okropnych, o straszliwem barbarzyństwie hajdamackiej dziczy, widziano rodziny uciekające na Brody ku Lwowu.

Każdy taki wygnaniec miał na ustach trwogę śmiertelną i wieść jakąś bajeczną. Mówiono, że bunt hajdamacki coraz bardziej się szerzy, że coraz dalej rozlewa się krwią i zniszczeniem, że łuna palonych dworów coraz większe zatacza koło, że dziś, jutro, pojutrze, zaświeci nad wzgórzami Lwowa.

Wróżono i wróżono, az wywróżono nareszcie.

Hajdamacy przyszli do Lwowa.

Przyszli istotnie, ale wcale w innej postaci, niż się tego obawiano. Przyszli nie z dzikim okrzykiem szpetnego zwycięstwa, nie wśród bicia dzwonów, ale z kajdanami na zbrodniczych rękach, jako jeńcy bez nadziei łaski i przebaczenia.

W sierpniu wspomnianego już roku, przybywać poczęli ci wstrętni goście do Lwowa.

Wybiegła ludność naprzeciw, aby przypatrzeć się dzikim postaciom złoczyńców, z których każdy zbryzgany był krwią ofiar bezbronnych, starców, kobiet i dzieci.

Pędzono ich też jak dzikie zwierzęta, obchodzono się z niemi gorzej niż ze zwierzętami.

Dragoni pędzili ich przez miasto pod cekhauz królewski lub miejski, do lochów na niskim zamku; oddział lwowskiego garnizonu obliczył ich, pokwitował i poumieszczał po rozmaitych kryjówkach, ciemnicach i kaźniach.

Kilka takich transportów hajdamackich przybyło do Lwowa.

Więzienia były przepełnione, szczupły garnizon rozerwany był na straży przy nich, a nie wiedziano, co z nim począć. Komendant lwowski Korytowski, protestował przeciw tym wstrętnym gościom, pisał do króla, do Branickiego do Stempkowskiego, do innych zaklinając, by mu nie nasyłali hajdamackich więźniów, których ani umieścić, ani wyżywić, ani ustrzedz nie może. Byli tacy, którzy radzili załatwić się szybko z więźniami — śmiercią ich bez wyjątku karząc. Mimo jednak całego oburzenia, mimo słusznej zgrozy, jaką wywołały zbrodnie tych potępieńców, ców, jeśli nie samo uznanie ludzkości, to wstręt, to obrzydzenie, wzbudzone przez poprzednie tysiączne egzekucje, sprzeciwiały się użyciu tego środka.

Czerni hajdamackiej była taka ilość, że wszystkich śmiercią karać było niepodobna. Pozbawiono życia tysiące, pozostały ysiące. Krew przelana w Humańszczyźnie odpłacona została strumieniami krwi hajdamackiej.

Zabrakło ludzi do spełniania wyroków śmierci. Pochwytani hajdamacy musieli sami sobie być katami. Jeden drugiego musiał pozbawiać życia, ostatniego zabijał żołnierz. Od Sawrania aż do Kamieńca Podolskiego poobwieszane były drzewa trupami opryszków, a około każdego niemal miasteczka na tej drodze sterczały lasy powbijanych na pale kompańczyków.

Postanowiono tedy po tak straszliwym odwecie porozsyłać resztę jeńców hajdamackich do twierdz rozmaitych, jak do Kamieńca, do Brodów, do Lwowa. Zachodził w głowę pan komendant Korytowski, otrzymawszy znaczną ilość takich nieproszonych i niemiłych gości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)